Nr. 15. Lwów, 1. sierpnia 1903. (Wydany 6. sierpnia 1903). Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna:
1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f.,
1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16.
każdego miesiąca.

†

KSIĄŻE ADAM SAPIEHA.

Dnia 25. lipca zawarła się mogiła nad zwłokami jednego z najpierwszych łowców na całym obszarze ziem polskich.

Nasze pisma polityczne w obszernych nekrologach podniosły zasługi zmarłego i jego działalność w życiu publicznem — nam pozostaje do skreślenia portret Księcia jako myśliwego i uczynimy to w osobnem wspomnieniu. Dziś notujemy, co zresztą powszechnie wiadomo, że z Księciem Adamem zeszedł do grobu prawdziwy myśliwy, dla którego namiętności myśliwskiej dopiero najgrubszy zwierz, a więc niedźwiedź, ryś i dzik, przedstawiał odpowiedni przedmiot. Świetne łowy górskie, którym Książe przewodniczył, były szkołą najpiękniej pojętego, prawdziwego myśliwstwa i dawały upust rycerskiej fantazyi szczęśliwych wybranych. Chyląc kirem okryty sztandar łowiecki przed świeżą mogiłą, wołamy:

Cześć pamięci znakomitego obywatela i również znakomitego przedstawiciela łowiectwa polskiego!

Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

(Ciąg dalszy).

Z innego źródła dowiadujemy się o kusaku co następuje:

Już przed wielu laty poczynił pewien właściciel dóbr we Francyi próbę zapełnienia swoich pustych a rozległych rewirów jakimś gatunkiem zwierzyny lotnej. W tym celu sprowadzono kuropatwy i bażanty; po czternastu dniach rozleciały się i zniknęły z rewiru, pomimo wszystkich środków ostrożności, jakie przedsięwzięto przy ich wypuszczeniu. Nawet potomstwo na miejscu w klatkach wychowanych kuropatw i bażantów zniknęło po wypuszczeniu w sposób niewytłumaczony. Znikanie to ptactwa przypisywano początkowo nieodpowiedniemu gatunkowi ziemi i brakowi wody w tych okolicach. Próba zatem zaaklimatyzowania europejskiej zwierzyny nie udała się całkowicie, wskutek czego zwrócono się do zagranicznych gatunków kuraków. Francuski myśliwy sprowadzał z całym zapałem coraz to nowe gatunki ptactwa, zapewniał im jak najlepsze warunki do życia — ale wszystko napróżno. Dopiero jeden cudzoziemiec okazał wdzięczność za gościnne przyjęcie i przyjął zmianę ojczyzny, mianowicie argentyński tinamu.

Pomyślne rezultaty, jakie osiągnięto z tym rodzajem kuraka wprawiły całą okolicę w zdumienie. Korzystny rozwój stanu tej zwierzyny u inicyatora skłonił sąsiadów do naśladowania go i w krótkim czasie cała okolica posiadała tego pożytecznego kuraka, który potem nietylko ze względów łowieckich, ale także ze względów ekonomicznych bardzo się pożytecznym okazał.

Południowa Ameryka posiada pięć gatunków należących do rodziny kusaków. Dotychczas tylko jeden, t. j. tinamu, (w Argentynie „inambu“ zwany) osiedlony został we Francyi i Anglii. W ojczyźnie swojej, która rozciąga się brzegów rzeki Amazonki aż do Patagonii, (zatem w rozmaitych warunkach klimatycznych i topograficznych), jest on bardzo gęsto rozsiedlony. Kusak dosięga wielkości koguta domowego, zamieszkuje równie chętnie otwarte pola jak i zarośla, trzyma się na równinach i w górach — wszędzie zaś, gdzie zamieszkuje, trzyma się bardzo skwapliwie raz zamieszkałego miejsca. Pomimo tego, że w swojej ojczyźnie kusak niechętnie się zrywa i szuka ratunku zwykle w ucieczce na piechotę, druga generacya tego ptaka, osiedlona we Francyi, z powodu częstego na nią polowania z psem, przyuczyła się do stosunkowo szybkiego zrywania się i szukania ocalenia w locie.

Niewiele okazuje kusak sprytu, ale pomimo tego skonstatowano, że wcale nieźle chroni się przed drapieżnikami, które niewiele mu szkody czynią. Zato jego ogromna wstrzemięźliwość i brak wymagań są doskonałą zaletą — żywi się on bowiem na wolności prawie wyłącznie ziarnem chwastów i owadami — szkody zaś żadnej w zbożu nie czyni.

Głos kusaka stanowi gwizd, ale w tylu rozmaitych tonach, iż tylko z trudnością uwierzyć można, że to zwierzę głos ten wydaje. Nawet krajowcy często są w niepewności. Jako gatunek, stanowiący przejście między strusiowatymi a kurakami właściwymi, posiada charakterystyczne własności obu gatunków. Cieknie po ziemi z taką szybkością, że w jednej chwili znajduje się w takiej odległości od miejsca, skąd wyruszył, iż wierzyć się nie chce, że to ten sam ptak, który przed chwilą był prawie pod nogami, a obecnie znika już na horyzoncie. Lata również bardzo dobrze i szybko.

Jak już wspominaliśmy posiada tinamu rude upierzenie — z odmianami czarnemi, szaremi i żółtawemi. Silne nogi są szare, podobnie dziób. Żaden obcy ptak nie jest tak stosownie upierzony dla stosunków europejskich, jak kusak, który przywarowawszy do ziemi, staje się pomimo swojej dość znacznej wielkości, całkiem niewidocznym.

Na brzegach Oise, między Montmorency i Adam, gdzie ptak ten od lat dłuższych już się zaaklimatyzował, rozmnożył się on w sposób zadziwiający. Już w drugiem pokoleniu traci swoją przywarę, polegającą na trudnem zrywaniu się i uczy się bardzo dobrze latać.

Zachęceni przykładem Francyi Anglicy postanowili uczynić próbę zaaklimatyzowania kusaka u siebie. Dzisiaj w hrabstwie Essex jest on powszechnie znanym. W rozmaitych czasach sprowadzano tam po kilka lub kilkanaście par kusaków z Ameryki i puszczano je na wolność bezpośrednio po przybyciu na miejsce przeznaczenia. Początkowo zdawało się, że popęd do mnożenia się wygasł w przybyszach. Już jednak na drugą wiosnę odzyskały one i swoją ruchliwość i płodność. Lisy, chowane w hrabstwie Essex w celach łowieckich, trochę za gorliwie zajęły się początkowo przybyszami — tak, że nawet częściowo kusaki w hrabstwie tem wyginęły. Sprowadzono zatem jaja, podłożono je pod kury, pisklęta wychowano w bażantarni i dopiero pod jesień wypuszczono w pola. Aż do zimy zostawały one w polach, w zimie zaczęły się wraz z bażantami pojawiać koło budek z karmą i bawiły tu całemi stadkami.

Schwytanie dorosłego ptaka przez lisa jest na podstawie poczynionych w tych okolicach doświadczeń, prawie zupełnie wykluczone — oczywiście jaja i pisklęta padają ofiarą jego drapieżności.

Już zniknęły śniegi i wiosna się dawno rozpoczęła, kiedy koguty rozpoczęły wśród charakterystycznego świstu tokowanie. Z początku kurki nie uważały na zaloty brzydkiej połowy rodu kusaczego — w końcu jednak, stale napastowane, oddawały się, chociaż pozornie niechętnie, nie nadzwyczajnie gorącym uściskom kogutów. Prawie równocześnie oddzieliły się kury od towarzystwa i wkrótce spostrzeżono niewielkie zagłębienia w piasku, które kurki wygrzebały na gniazda. Ilość jaj wahała się między pięcioma a ośmioma. Jaja są dwa razy większe niż bażancie. Wynajdywane z pomocą setera jaja wybierano z gniazda i dawano pod kurę lub do maszyny do wylęgania. Między 21-ym a 23-im dniem wylęgło się 81% jaj — poczem oddano pisklęta do odpowiedniego przedziału maszyny, gdzie miały obeschnąć. Tutaj tak długo zostawały, aż stanęły mocno na nogach i zaczęły biegać. Pisklęta, które mają nóżki czerwone, można by porównać z młodymi strusiami, a jeszcze więcej wtedy, kiedy zmieniają puch na pałki. Gdy już pisklęta biegać zaczynają, oddano je w partyach po 15 sztuk kwokom i umieszczono je razem z niemi w odpowiednim ogrodzeniu. Kwoki zajęły się pisklętami chętnie i mała rodzina, oczywiście zaopatrzona we wszystkie środki do życia, rozpoczęła bardzo przykładny żywot. Już po dwu miesiącach wypuszczono kusaki z ogrodzenia i puszczono je w pole. Tutaj wkrótce oddaliły się od swej adoptowanej matki i w piątym miesiącu prawie

dosiągnęły wzrostu swoich rodziców, zaczęły próbować swoich sił w pojedynkach między sobą staczanych i szybko rozprószyły się po rewirze. Zimują, piszą z hrabstwa Essex, u nas bardzo dobrze, nawet przy silnym mrozie i wysokim śniegu, jeżeli nie dozwoli się im przymierać głodem. Hodowca angielski zostawił drugą generacyę własnemu losowi i pomagał jej tylko poddawaniem karmy w zimie. Podobnie jak pierwsza generacya, i ta także w zimie zgromadziła się w stadka, które aż do wiosny kręciły się w pobliżu miejsc, gdzie podawano karmę. Na wiosnę rozpoczęły się toki, kurki pozakładały gniazda w parku i na otwartych polach i powierzyły wysiadywanie jaj.... kogutom.

Z początku zdawało się, że to tylko przypadek — potem przekonano się, że ten zwyczaj panuje w całej rodzinie tego ptaka. Kura kusaka jest istotą pozbawioną wiary małżeńskiej, która przeznaczenie swoje tylko w tem upatruje, że znosi jaja — potem zaś, gdy usadzi na nich małżonka, oddaje się romansowi z innym kogutem, składa, tym razem wprawdzie mniejszą ilość jaj i znowu oddaje obowiązek ich wysiedzenia kochankowi. W ten sposób ani małżonek ani kochanek nie mają nawet czasu myśleć i skarżyć się na niewierność kurki. Jeżeli im zależy na przekazaniu swego gatunku potomności, muszą siadać na jaja i wylęgać je. Kogut czyni też to z taką sumiennością, jak żeby nic innego przez całe życie nie robił. Podczas gdy kurka zawiera jeden po drugim stosunek, kogut poświęca swój czas w niemej rezygnacyi, pięknie zafarbowanym jajom. Nawet — gdy pisklęta już się wykłują, strzeże on je i uczy szukać pożywienia. Niemoralne zachowanie się kur, przyczynia się jednak do silnego rozmnażania się kusaka — w ten bowiem sposób Messalina rodu kurzego może więcej jaj znieść, niż gdyby się oddawała spełnianiu drugiej części obowiązków małżeńskich. Gdy pisklęta dorastają, stara się kogut o pozyskanie albo matki, albo innej kurki do pomocy w wychowaniu chciwej pożywienia młodzieży.

Kusaki są bardzo łagodne — pojedynki, jakie się między kogutami na toku odbywają, noszą charakter bardzo niewinnej walki.

Kogut i kura są tak do siebie pod względem upierzenia i postaci podobne, że ich według zewnętrznego wyglądania rozróżnić nie można.

Główną przyczyną, że zajęto się wprowadzeniem kusaka do Anglii, był z początku wzgląd na doskonałe mięso, jakie ten kurak daje. Jednakże niedługo zaczęto się tym przybyszem zajmować także i z tego względu, że polowanie na niego stanowi wielką przyjemność — tem więcej, że zmienia on w Europie do pewnego stopnia swoje zwyczaje.

W ojczyźnie swojej jest on niezmordowanym biegaczem i daje się tylko bardzo trudno zmusić do lotu. W Argentynie trzyma się on najchętniej na wypalonych pampasach, które po wypaleniu pokryte są cienką i niską trawą i nie dają wiele sposobności do ukrywania się. Tutaj nie potrzebuje tinamu zrywać się, bo właśnie w ten sposób zdradza swoją nieobecność. W stepach tych łączy się kusak w stada po 200 — 300 sztuk. Krajowcy wypatrują te stada, otaczają je konno i koło coraz więcej zacieśniają. Kiedy się już zupełnie koło zacieśni, podnoszą się kusaki, które dotychczas przyczajone starały się ujść oku myśliwych i uciekają piechotą. Rozpoczyna się gonitwa i strzelanie. Gauchosi posługują się przy tem z nadzwyczajnym hałasem odbywającem się polowaniu, pętlicą, przymocowaną do giętkiego biczyska i pętlicę tę zarzucają z niesłychaną zręcznością na szyję umykających jak strzała tinamusów. Gdy pętlica chybi, wtedy zwykle kusak się zrywa, ale wkrótce napowrót zapada i dalej biegnie. Skrzydła ma kusak krótkie i dlatego nie pozwalają mu one na daleki lot — ale ten krótki lot jest tak szybki i wartki, że żaden gaucho nawet nie próbuje strzelić do kusaka w locie.

Inaczej zupełnie zachowują się kusaki w Europie. Pomimo tego, że zawsze bardzo chętnie używają nóg w celu uchronienia się od niebezpieczeństwa, jednakże zrywają się o wiele chętniej i szczególniej w zaroślach, gdy z szybkością strzały przelatują przez linię, dają sposobność do ślicznego strzału.

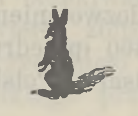
Zresztą zachowuje się kusak nie niepokojony całkiem spokojnie przez dzień i noc. Nie czyni w polach i w lesie szkody, a nawet dla kultur lasowych jest pożyteczny, bo zbiera owady i poczwarki bardzo skrzętnie.

Te zalety przyczyniły się do tego, że importowanie kusaka do Europy, a szczególniej do Francyi i Anglii przybrało znaczne rozmiary, tak, że dzisiaj kusak w tych krajach nie jest rzadkością.

W biharskim komitacie na Węgrzech, postanowiło towarzystwo myśliwskie z Szalad wprowadzić w swoich rewirach ten rodzaj zwierzyny. Wpuszczono je na pole pokryte hreczką wśród rewiru, obejmującego około 6000 morgów, obfitującego w wodę i w zarośla i lasy. W Bawaryi, w Ammerland, w bażantarni hr. Possi, osiągnięto także bardzo dobre rezultaty z zaaklimatyzowaniem kusaka. Również na Śląsku pruskim, kusak wcale dobrze się zaaklimatyzował.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby ktoś w Galicyi spróbował zaprowadzić ten rodzaj zwierzyny i poczynił doświadczenia, czy klimat nasz nie jest za ostry dla kusaka. Kusaki żywe lub jaja, dostać można u Gudery w Wiedniu, albo u Galicheta w Meriel.

(C. d. n.)



Program pracy

nad polskiem słownictwem łowieckiem.

Smutno i ponuro w księstwie Krakowskiem. Wisła wzniosła się była ośm metrów ponad zwyczajny swój poziom, zniszczyła ziemiopłody i wytopiła krocie drobnej zwierzyny. Wskutek długotrwałej słoty giną bażanty i kuropatwy młode, ba nawet wśród podlotów znać widoczny ubytek, słowem broń zawiesimy w tym roku, a Djanie przyjdzie służyć więcej w teoryi, przy biurku, niż w praktyce na polu lub w lesie. Z prawdziwą przyjemnością czytałem notatki umieszczone w „Łowcu“ po mej odezwie w sprawie polskiego słownictwa. Spotkał mnie jednak przykry zawód i to kilkakrotny. Gdym w nrze 9-tym „Łowca“ wyczytał skład komisyi, któraby się sprawą ułożenia słownika polskiego łowieckiego zajęła, miałem nadzieję, że jednemu z członków tej komisyi wypadnie w udziale rzecz całą przedstawić Walnemu Zebraniu, że prace rozpoczną się bezwłocznie, że wreszcie w pokrewnym, Warszawskim „Łowcu Polskim“ wyczy-

tam echo naszych artykułów i usiłowań. Wszelkie te nadzieje zawiodły mnie jednak. Komisya istnieje, brak jej jednak przewodniczącego, nasz senior, czcigodny hr. Leopold Starzeński, może tę godność przyjąć raczy i wezwie nas, bądź to do zjechania się w jakimś dogodnym punkcie, długiej a wąskiej Galicyi, bądź listownie raczy ułatwić ukonstytuowanie się komisyi. Nadto ośmielam się zaproponować dwie osobistości do komisyi *).

Zanim komisya się zbierze i prace pomiędzy siebie rozdzieli, podaję możliwie najkompletniejszą bibliografię rzeczy dawnych i plan, jaki pracom naszym należy nadać. Oto tytuły książek, które słowo za słowem przejść musimy, wypisując poszczególne wyrażenia na karcie i podając znaczenie, w jakiem je dany autor używa.

Oto tytuły dzieł:

1) Bielawski Tomasz: „Myśliwiec“. Kraków 1595.

2) Bobiatyński Ignacy: „Nauka łowiectwa w 2 tomach przez Ignacego Bobiatyńskiego, kandydata filozofii“.

Tu melius scribes, ego tandem arcum — Hussovianus de venatione bisontis.

Wilno 1825 z 11 rysunkami.

3) Borkowski Józef hr.: „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim“. (Prace Literackie. Tom I-szy. Wiedeń 1838).

4) Brincken Juliusz hr.: „Rozprawy o leśnictwie technicznem i łowiectwie z zastósowaniem do rozporządzeń w lasach rządowych Królestwa Polskiego“. Warszawa 1821.

5) Cygańskiego Mateusza: „Myślistwo ptasze“. W drukarni Jakóba Siebencychera, 1584, dedykowane Królowi Stefanowi Batoremu.

6) Tegoż: „Myślistwo ptasze z XVI. w. obejmujące wszystko, co wówczas do ptasznictwa należało w Polsce, a obok wymieniające rodzaje i gatunki ptaków krajowych“. Odbitka z „Sylwana“. Warszawa 1842.

7) Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze z doświadczenia N. N., szlachcica polskiego, napisane 1660, a teraz świeżo z dozwoleniem starszych do druku podane“ w Poznaniu 1660 (przedruk w Wojcickiego Bibliotece Starożytnych Pisarzy Polskich. Warszawa 1854, tom III-ci).

8) Kamiński S.: „Nowy Poradnik dla myśliwych na wytępienie różnych zwierząt drapieżnych“. Warszawa 1847.

9) Kozłowski Wiktor: „Pierwsze początki terminologii łowieckiej“. Warszawa 1822.

10) Tenże: „Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski“. Warszawa 1842.

11) Kluk Krzysztof Ksiądz: „Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, historyi naturalnej początki“... 1779—1823 tomów 8.

12) Kurowski Waleryan: „Myślistwo w Polsce i Litwie“. Poznań 1865.

13) Leyen P.: „Polowanie na jarząbki z wabikiem, przełoż. z niemieckiego i swoje spostrzeżenia podał J. C.“. Warszawa 1874.

13) Łownictwo obejmujące hodowanie i ochronę zwierząt, ptaków łownych, oraz tępienie zwierząt drapieżnych. Wykład nauczyciela leśnictwa w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie“. Warszawa 1860.

14) Mylke Wilhelm: „Myślistwo krajowe“. Warszawa 1843.

15) Z Ostroga Jan, wojewoda poznański: „O psach gończych. Część I-sza myśliwstwa“. Przedruk z r. 1608 w Kraszewskiego „Pomnikach“.

16) Tenże: „Myślistwo z ogary“. Przedruk u Turowskiego. Kraków 1859.

17) Tenże: „Źwierzyniec Kornarzeński“, rękopis w bibliotece hr. Krasińskich w Warszawie. W tem dziele prawidła zakładania zwierzyńców.

18) Ożegalski J.: „Uwagi myśliwskie dla wszystkich myśliwych“. Kraków 1879.

19) Piórkowski J.: „O łowiectwie i ochronie dzikich zwierząt jakoteż ptactwa“. Warszawa 1869.

20) Polowanie z wyżłem, czyli zbiór uwag, prawideł i przepisów tegoż polowania dotyczących“. Warszawa 1856).

21) Połujański Aleksander: „Leśnictwo polskie“ 2 tomy. (Część IX. Łowiectwo). Warszawa 1861—62.

22) Porządek leśnictwa i myślistwa, uchwalony dla zachodnich Prus i Dystryktu nad Notecią 8. października 1805.

23) Puchalski Franciszek: „Poradnik gospodarczy, zawierający w sobie sposoby i środki tyczące się chowu i leczenia bydła i koni, kultury lasów i myślistwa“... Rzeszów 1871.

24) Reumann Mikołaj: „Gospodarstwo łowieckie z historyą starożytnego łowiectwa polskiego“. Warszawa 1845.

25) Siemieński Lucyan Hipolit: „Przewodnik myśliwca“. Leszno i Gniezno 1848.

26) „Słówko o myślistwie“. Dwie broszury. Brody 1874.

27) Starzeński hr. Leopold: „Wspomnienia z wyprawy myśliwskiej do Syryi“. Lwów 1861.

28) Szlesygier J.: „Myśliwy ze strzelbą“. Warszawa 1880.

29) Szytler Jan: „Poradnik dla myśliwych o rozmaitych sposobach zabijania lub łowienia zwierząt z przydanemi uwagami nad obchodzeniem się z bronią, układaniem psów i sokołów do polowania, urządzeniem wabiów i t. d.“. Wilno 1839.

30) Wodzicki Kaz. hr.: „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“. Warszawa 1858.

31) Tenże: „Wspomnienia z życia łowieckiego“. Lwów — Warszawa 1880.

32) Wrześniowski August: „O układaniu wyżłów“. Warszawa 1879.

33) Zbylitowskiego Andrzeja: „Pisanie Satyrów puszcz litewskich do Anny Królewny o łowach w Białobierzach“. Kraków 1589.

* * *

Przedemną stos karteczek leży jeszcze z tytułami dzieł, w których o łowach i źwierzach czytać wiele mo-

---

*) Szanownemu Członkowi Komisyi podajemy na tem miejscu do wiadomości, że hr. Leopold Starzeński przyjął przewodnictwo Komisyi i w porozumieniu z Redakcyą „Łowca“ przygotował także spis dzieł, które należałoby wziąć za podstawę do pracy, jak również zebrał część tych dzieł, o ile one znajdowały się w bibliotece Redakcyi lub też w bibliotekach lwowskich. Zaproszenie Komisyi nastąpi w krótkim czasie — zamierzono je pierwotnie na dzień 20. lipca, z powodu wiadomości jednak, że znaczna część członków przybyćby na zebranie w tym miesiącu nie mogła, odroczono na czas sposobniejszy.

Ponieważ jednym z punktów porządku dziennego zebrania będzie sprawa kooptowania członków Komisyi z poza grona zaproszonych, pozwoliliśmy sobie wnioski szanownego Korespondenta w tym kierunku postawione, opuścić w korespondencyi i prosimy o postawienie ich na pierwszem posiedzeniu.

żna, leżą też tytuły przeróżnych „Ustaw“ i „Porządków“, pomijam je, niechcąc nużyć czytelników „Łowca“ suchym spisem, kiedyś, gdy komisya rozpocznie swe prace, pora je będzie znowu wydobyć. Z podanych 33 dzieł już wnioski wydobyć można, szli przed nami tacy, co drogi nasze prostowali, przystępując do pracy nad polskiem słownictwem łowieckiem, nie zbłądzimy, w lesie wyrażeń bowiem wycięli linie nasi poprzednicy z Poznania, Wilna, Gniezna, Leszna, Warszawy, Krakowa. Oczyśćmy język nasz z naleciałości niemieckich, bośmy myśliwymi polskimi z kulturą z nad Dunaju czy Renu, i to nam łowcom polskim wcale nie do twarzy. Mickiewicz nie znał „dubeltówki“ nawet, lecz pisał o „dwururce“, my zaś bez zarumienienia się wymawiamy „drylling“, „express“, „schneller“ i inne mile ucho polskie łechcące słowa, że zamilczę o kreisach, streifach, beitrittach i kreuztrittach, nad któremi już biadał A. hr. Sumiński. Zastąpić te natręty cudzoziemskie rodzimemi nazwami wcale trudnem nie będzie zadaniem. Przestudyować tylko dzieła dawne, z nowszych zaś roczniki naszego i warszawskiego „Łowca“, no i tych „Sylwanów“, co się wstydzą zwać „Leśnikami“, a setki kartek zbierzemy, które dłoń umiejętna, jak rolnik przez młynek, przez krytykę przesieje i ułoży należycie. Ważnem jest, by zbieranie materyału odbywało się w jednostajny sposób, t. j. na kartkach jednakowej wielkości (n. p. $1/_8$ zwykłego arkusza), by uniknąć zbytecznego przepisywania. W ostatnich czasach czytałem w „Łowcu Polskim“ monografię sarny, pióra p. Stefana, i przekonałem się, że p. Stefanowi słownictwo polskie wystarczyło zupełnie w opisywaniu jak najdrobniejszych szczegółów z życia sarn i ich obyczai. Jeżeli każdy pojmie swe zadanie tak, jak to uczynił p. Stefan w łowiectwie naszem, to wnet znikną z kiepska po polsku brzmiące germanizmy, a poważne pojmowanie tych obowiązków wobec mowy ojczystej spocznie wielkim ciężarem zwłaszcza na tych, co do spisania polskiego słownictwa łowieckiego staną. Nie możemy krępować się już gotowymi zbiorami, lecz przygodnie pisanymi. Nie możemy się trwożyć tem, że sarna, jeleń, lis i t. d. mogą dziesiątki kartek nam zająć w druku, bo musimy żywić to przekonanie, że przystępujemy do rzeczy pomnikowej. Pocieszającym jest fakt, że o środkach materyalnych Wydział naszego Towarzystwa pomyślał. Na dowód, jak zaś łatwo można z poważnego traktowania tej sprawy przejść w farsę, pozwolę sobie przytoczyć zdarzenie z mego życia. Przed kilku laty, w słoneczny a parny dzień letni łapałem we wsi Stare Bystre w rzece Rogoźniku pstrągi z panem M., dzierżawiącym tam rybołóstwo i księdzem K. Powodzenie było wspaniałe: 146 pstrągów ułowiliśmy w przeciągu kilku godzin. Sortujący je góral wywoływał, stósownie do wielkości pstrąga: gemeiny, freiter, kapral, führer i t. d. Było to przenoszenie rang wojskowych na błękitno-łuskie ryby, gdybyśmy użyli nazw o brzmieniu polskiem dla tych rang, mogłoby się wydać to nawet komuś prawie odpowiednem, dla oznaczenia wielkości danej ryby, a przecież rzecz cała swą naiwnością tylko zdawała się być zabawną. W taki to sposób urabia się „żargon“, nie „gwara“. Ważną przeto rzeczą jest, by od wpadania w żargon się ustrzedz, a tylko to, co piękne, prawidłowe, szczerze polskie i szczerze myśliwskie zebrać i spisać. Oby prace nad tem rozpoczęły się jak najrychlej, a komisya przestała istnieć tylko z imienia, lecz rozpoczęła swe czynności w rzeczywistości.

Czernichów, 23. lipca 1903. *L. M. Dziama.*

Z obcych światów.

Przygody myśliwskie prezydenta Krügera, według jego pamiętników.

Trudno mi jest oczywiście określić dziś liczbę dzikich zwierząt, które padły z mej ręki. Było ich zbyt wiele, szczególniej, jeżeli mówimy o lwach, bawołach, antylopach i różnych drapieżcach; zresztą przeszło od lat pięćdziesięciu nie brałem udziału w żadnej wyprawie łowieckiej, tak, że mnóstwo epizodów ulotniło się już z mojej pamięci. W przybliżeniu zabiłem od trzydziestu do czterdziestu słoni i pięć hippopotamów; więcej niż pięć słoni sam zabiłem, bez niczyjej pomocy. Przeważnie udawałem się na polowanie na dobrych koniach i z jednym tylko towarzyszem.

Wybierając się na większe wyprawy, kazałem zwykle, aby szły za mną dwa lub trzy wozy ubogich włościan, którym oddawałem zabite zwierzęta.

W roku 1849 zabiłem pierwszego lwa. Miałem wtedy lat 14. Trzody moje pasły się na brzegach rzeki Nosorożca, w państwie wolnem, kiedy lew zaczął dziesiątkować nasze bydło. Sześciu z pomiędzy nas udało się konno na poszukiwanie nieprzyjaciela; ja byłem właściwie siódmym, ale mnie wówczas jeszcze nie rachowano. Podzieliliśmy się na dwie grupy; trzech jechało na czele, a druga grupa posuwała się w znacznej odległości za pierwszą. Gdy spotkaliśmy lwa już on nas był dostrzegł i gotował się do napaści.

Trzej starsi myśliwi, którym towarzyszyłem: mój ojciec, mój stryj i mój brat szybko powiązali wszystkie konie ze sobą, obróciwszy je wpierw w tę stronę, z której nie mogły widzieć lwa — jest to zwykła ostrożność, zachowywana zawsze w podobnych wypadkach: widok lwa przestrasza konie, pobudzając je do ucieczki.

Wszyscy starsi myśliwi zajęli swoje stanowiska. Ja usiadłem po za końmi, t. j. naprzeciwko lwa, z karabinem przy ramieniu, w oczekiwaniu chwili, kiedy można będzie dać ognia. Zwierzę zbliżyło się do mnie na nieznaczną odległość i przycupnęło do ziemi, gotując się do skoku; według wszelkiego prawdopodobieństwa celem jego napadu miały być nasze konie. Wystrzeliłem w chwili, gdy się miał rzucić i byłem o tyle szczęśliwym, że go zraniłem śmiertelnie. Ciało jego omal że nie zwaliło się na mnie. Towarzysze moi przybiegli na pomoc, ale ich interwencya była już zbyteczną. Lew, olbrzymiego wzrostu, przedstawiał już tylko martwe ciało bez życia.

Wystrzał zwrócił na nas uwagę trzech innych myśliwych. Wszyscy sześciu zgromadzili się dokoła lwa i roztrząsali świeżo zaszły wypadek. Niejaki Hugo nawet ukląkł i pochylił się nad zwierzęciem, chcąc zmierzyć jego zęby wyjątkowej długości. Ja się też zbliżyłem i przez nieuwagę nastąpiłem na brzuch zwierzęcia, który wydał natychmiast ryk tak straszliwy, że Hugo przerażony upadł na wznak. Inni myśliwi pokładali się ze śmiechu; każdy z nas wie doskonale, że gdy się przyciśnie brzuch lwa nieżywego, wkrótce po jego zabiciu, rozlega się ryk podobny do tego, jaki wydaje lew żywy. Ryk ten sztuczny wywołuje powietrze zawarte we wnętrznościach lwa i przeciskające się przez jego paszczę wskutek silnego nacisku. Hugo, naturalnie, wiedział również o tej właściwości, ale na razie zapomniał o niej i teraz wstydził się mocno swej trwogi. Z wściekłością rzucił się na mnie, chcąc mnie uderzyć, ale inni myśliwi mu przeszkodzili, tłumacząc,

że powodem mego postępku był brak doświadczenia, a nie żart złośliwy.

Drugiego lwa zabiłem po za obrębem gór Magalie. Stryj mój, Thennis Krüger i ja, ścigaliśmy razem stado antylop. Koń mój był słabszy, pozostałem więc nieco z tyłu. Posuwałem się naprzód wolnym krokiem, zagłębiony w swych myślach, gdy nagle podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą czeredę lwów. Nie można było nawet marzyć o ucieczce na koniu znużonym.

Wtem jeden z lwów oddzielił się od całej gromady i skierował się ku mnie. Pozwoliłem mu zbliżyć się na kroków dwadzieścia i wymierzyłem w samą głową. Kula przeszyła go prawdopodobnie na wylot, upadł bowiem natychmiast; próbował się jednak podnieść i przyczołgać do swoich, podczas gdy ja znów nabijałem strzelbę. Prawie zaraz jednak upadł ponownie. Był już martwy. Ośmielony tem powodzeniem chciałem uderzyć na resztę stada, ale daremnie. Zwierzęta uciekły w góry, gdzie ich, naturalnie, ścigać nie mogłem.

W kilka lat później, w tych samych stronach spotkałem się ze lwami, które kradły nam bydło. Na nasz widok uciekły, chroniąc się w góry. Tym razem jednak zacząłem je ścigać i udało mi się zabić aż dwu; towarzysze moi, mniej zręczni, wrócili z niczem.

Piątego lwa zastrzeliłem w obwodzie Lydenburg, koło rzeki Olifant. Tym razem miałem ze sobą doskonałego psa do polowania, szedł za mną wszędzie i odszukiwał ślady dzikich zwierząt, aż do ich kryjówek. Gdy wytropił lwa, zaczął szczekać i ujadać gwałtownie, lew zaś, ze swej strony ryczał z wściekłością. Gdy pies mnie spostrzegł, usunął się natychmiast, aby nie krępować mych ruchów. Lew chciał się rzucić na mnie, ale w chwili, gdy się przygotowywał do skoku, pies pochwycił go z tyłu, tak, że mnie nie trudno już było zadać mu cios śmiertelny. Był to piąty lew, którego zabiłem bez pomocy niczyjej. Podczas wypraw zbiorowych zabiłem wiele innych.

Pierwszego nosorożca zabiłem w ciągu wojny z Selikatsem, podczas jednego z konnych rekonesansów. Mój stryj, Thennis Krüger, pozwolił mi strzelić pierwszemu i byłem tak szczęśliwy, że położyłem zwierzę pierwszym wystrzałem z fuzyi.

Drugie polowanie na nosorożca, przedsięwzięte z mym szwagrem Thennissenem, wiernym towarzyszem wypraw myśliwskich, upamiętniło się perypetyami prawie tragicznemi. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że między nami istniała umowa przestrzegana surowo, iż każdy z nas miał prawo wygrzmocić drugiego, w razie popełnienia jakiejś nieostrożności zgubnej, albo tchórzostwa, ktoreby pozwoliło umknąć ranionemu zwierzęciu. Nieszczęście chciało, że tego poranku zepsuła się moja strzelba, której używałem zwykle. Musiałem wziąć inną, dubeltówkę z bardzo ograniczoną siłą rzutu. Wiedziałem więc, że wystrzał z tej broni nie wyrządzi szkody nosorożcowi, o ile mi się nie uda trafić w jakieś miejsce pokryte mniej grubą skórą.

Bardzo prędko spotkaliśmy trzy nosorożce, jednego samca i dwie samice z gatunku Zwartharnoster, jednego z najniebezpieczniejszych. Ściganie samic pozostawiłem Thennissenowi, polecając mu nie tracić ich z oczu, a sam zająłem sie samcem. W minutę byłem już obok mego nosorożca. Zeskoczyłem na ziemię, wybierając takie miejsce, ażeby zwierzę było zmuszone przejść koło mnie w odległości przynajmniej dziesięciu kroków, i ażebym w ten sposób mógł je trafić w miejsce najczulsze. Tak się też stało: pierwszy mój strzał okazał się śmiertelnym.

Wskoczyłem natychmiast na siodło, pędząc w kierunku, zkąd mnie dochodziły wystrzały Thennissena, ponieważ umówiliśmy się, że on wystrzeli od czasu do czasu dla wskazania mi swej pozycyi, wysokie bowiem trawy ograniczały pole widzenia.

W galopie nabiłem strzelbę. W chwili gdy się złączyłem z Thennissenem wpakowywał on drugi nabój jednej z samic. Ta się zatrzymała na miejscu, ale druga tymczasem zaczęła uciekać. Popędziłem za nią. Mijając Thennissena usłyszałem jego wołanie: nie zsiadaj z konia, nie wróżę nic dobrego z wściekłości zwierzęcia.

Znając przesadzoną ostrożność swego towarzysza nie zwróciłem uwagi na jego radę i zeskakując z konia podbiegłem na spotkanie nosorożca. Jak tylko mnie spostrzegł, zwrócił się ku mnie natychmiast i natarł niespodziewanie. Pozwoliłem mu zbliżyć się na odległość trzech lub czterech metrów i pociągnąłem za cyngiel, ale piston spalił na panewce.

Było już za późno strzelać po raz drugi.

Zwierzę zbliżało się ku mnie i chcąc nie chcąc musiałem szukać ratunku w ucieczce. Nieszczęściem jednak zaplątałem się w gęstwinie cierni, potknąłem się i upadłem twarzą o ziemię. W tej samej chwili na plecach swych uczułem róg nosorożca; nosem swym przycisnął mnie do ziemi i miał mnie już zdeptać nogami, ale ostatnim wysiłkiem udało mi się odwrócić ku niemu i wpakować mu kulę w serce, pomimo bowiem grożącego niebezpieczeństwa nie porzuciłem strzelby.

Podskoczył jeszcze, ale zaraz upadł martwy o kilka metrów odemnie.

Theunissen nadbiegł w tej samej chwili, przekonany, że broń moja wypaliła podczas walki, że się zraniłem, może nawet śmiertelnie; widząc jednak, że podniosłem się z ziemi nietknięty, pochwycił swój sjambok (bicz do popędzania wołów), i przypominając naszą umowę, rzucił się na mnie z całym rozmachem, chcąc wymierzyć karę za moje zuchwalstwo i lekceważenie jego rady.

Daremnie broniłem swej sprawy, zapewniając go o swej dobrej wierze i nawet zwracając jego uwagę na to, że byłem już dostatecznie poturbowany przez zwierza, mam więc prawo do uwolnienia się od kary; wszystko było daremnem, tylko usuwając się za krzak cierni mogłem się uchronić od jego razów. Była to zresztą pierwsza i ostatnia sposobność wybicia mnie; inna mu się nie nadarzyła.

W bagnie, leżącem w pobliżu miejscowości, gdzie zabiłem pierwsze słonie, zastrzeliłem pierwszego bawołа. Wskazano nam pasące się w dolinie stado bawołów, które się zwolna posuwało w górę rzeki. Stanąłem na czele małego oddziału myśliwych i wyruszyliśmy na obławę. Zaledwie jednak postawiłem nogę na ziemi, zostałem napadnięty przez samicę, która się odłączyła od reszty stada i galopem pędziła ku mnie. Wystrzeliłem do niej ze znacznej odległości i trafiłem w skazę na łopatce. Kula nie powstrzymała rozpędu bawolicy, przewróciła mnie bowiem i przeszła przezemnie, nie depcąc mnie jednak wcale. Otoczyliśmy ją później w bagnie, gdzie się schroniła i zabiliśmy.

Inną zupełnie przygodę miałem z bawołem na brzegu rzeki Bierkraal. Urządziliśmy w sześciu polowanie na te zwierzęta w dżunglach, wysokich na cztery lub pięć metrów. Na los szczęścia poszedłem sam jeden na zwiady.

Dzięki gęstej trawie minąłem jedno stado, nie zauważywszy go wcale, następnie wpadłem niespodziewanie na drugie, które, prawdopodobnie, nie bało się o to, że może być wytrącone ze zwykłego spokoju, gdyż jedno ze zwierząt natychmiast wytoczyło mi proces. Na moje szczęście rogi jego umieszczone były tak daleko od siebie, że za każdem uderzeniem wymierzanem przeciwko mnie, zaplątywały się w gałęziach krzewów i w lianach, co nietylko osłabiało uderzenie, ale skrywało mnie co chwila przed okiem zwierza. Jednakże musiałem rozpocząć odwrót, który omal co nie skończył się dla mnie tragicznie: bawolica bowiem przywiodła mnie tuż do stada, którego nie zauważyłem poprzednio i wpadłem wprost na jakiegoś bawoła; niespodziewane moje zjawienie się przerwało prawdopodobnie jego rozmyślania, tak przynajmniej wnioskować mogłem z mistrzowskiego wierzgnięcia, którem mnie obdarzył. W rezultacie jednak udało mu się rozerwać tylko moją kurtkę od góry do dołu. Towarzysze moi, którzy się zatrzymali w pewnej odległości, widzieli nogę zwierzęcia, a myśleli, że widzą rogi — tak wysoko podrzucił ją bawół. Co do mnie zresztą wszystko się skończyło na strachu.

Drugie spotkanie z bawołem, również bardzo niemiłe, miałem w Vleeschkraal, w obwodzie Waterbergu, gdzie zawsze polowałem ze swoim szwagrem. Wystrzeliłem do samicy, która się ukryła w gęstwie krzaków kolących. Nie mogłem tam dotrzeć na koniu, oddałem więc mego wierzchowca szwagrowi i pobiegłem śladem bawołu, obawiając się stracić go z oczu. Ale kiedy mi się zdawało, że ścigam zwierza, on, ukryty chwilowo w trawach wysokich, skręcił nagle i stanął przedemną. Chciałem wystrzelić, lecz nie mogłem zdążyć, bo miałem strzelbę z krzesiwem. Musiałem się zatem cofać. Czując, że zwierzę następuje mi prawie na pięty, zrobiłem kilka skoków szybkich i nagle upadłem w sam środek bagna, którego pierwej nie zauważyłem wcale. Bawół rzucił się za mną. Położenie moje stało się bardzo krytyczne, nie mogłem bowiem nawet marzyć o użyciu strzelby, która wpadła w wodę. Bawół uderzył na mnie z taką gwałtownością, że jeden z jego rogów ugrzązł w gęstem błocie. Schwyciłem za drugi róg i starałem się zanurzyć głowę zwierza w wodzie, aby go w ten sposób udusić. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż róg, lepki od błota, wyślizgiwał mi się z rąk. Musiałem go trzymać obiema rękami i wpychając równocześnie w błoto głowę olbrzyma z całą siłą energii, którą mi dawało moje położenie rozpaczliwe. Czując, że siły moje słabną, schwyciłem jedną ręką za nóż myśliwski, zawieszony zawsze u pasa. Na nieszczęście jednak druga moja ręka była zbyt słabą, aby utrzymać zwierzę i wkrótce groźna głowa ukazała się nad powierzchnią wody, ale w jak opłakanym stanie! Przeciwnik mój ślinił się, napół uduszony i oślepiony błotem, wypełniającym jego oczodoły. Jednym skokiem wydostałem się z wody i ukryłem się w gąszczu sąsiednim, podczas gdy zwierzę umykało w kierunku przeciwnym. Skoro tylko znikło mi z oczu pospieszyłem uratować moją strzelbę. Okryty błotem i mułem miałem równie smętny wygląd, jak i mój bawół. Thennissen szłyszał wybornie szmer walki, ale nie mógł mi przyjść z pomocą, ponieważ przebycie tej gęstwy na koniu było rzeczą wprost niemożliwą. Umyłem się naprędce i pospieszyłem zaraz w pogoń za resztą stada; poszczęściło mi się tym razem dobrze, zabiłem bowiem jednego bawołu.

Pierwsze moje spotkanie ze słoniami, spotkanie, które się zresztą obeszło bez rozlewu krwi, odnosi się do czasu wyprawy przeciwko Selikatsowi, który niedawno przedtem napadł na nas niespodziewanie i wymordował pewną liczbę naszych.

Z Wonderfonteinu, gdzie stały nasze konwoje, posłano mnie z silnym patrolem do rozpoznania pozycyi nieprzyjacielskiej. Przy brodzie rzeki Olifant wpadliśmy na duże stado słoni, które właśnie przebywało ten bród. Ojciec mój poszedł za nimi, ale komendant Potgieter nie pozwolił mu strzelać, z obawy zwrócenia uwagi nieprzyjaciela, który mógł się znajdować w pobliżu. Na ten raz wszystko się na tem skończyło, ale wkrótce znów spotkałem słonia, który omal co nie pozbawił mnie życia.

Adryan van Rensburg i ja wyruszyliśmy w dżungle dla upolowania gruboskórców. Jadąc na rumaku ognistym wyprzedziłem nieco swego towarzysza. Nagle ujrzeliśmy przed sobą całą rodzinę słoni. Popędziłem galopem, nie troszcząc się wcale o Rensburga. Chciałem przedewszystkiem uspokoić mego konia, który inaczej nie byłby mi pozwolił wystrzelić. W tym pośpiechu gwałtownym nie zauważyłem wcale, że w chwili gdy zeskakiwałem na ziemię, jeden ze słoni odłączył się od stada w zamiarze oczywistym napadnięcia na mnie z tyłu. Ale van Rensburg, który widział wszystko, zaczął krzyczeć z całej siły, chcąc mnie ostrzedz o grożącem niebezpieczeństwie. Wtedy to obróciłem się i spostrzegłem, że wysokie trawy poruszają się, dając przejście olbrzymiemu zwierzęciu. Pierwszą moją myślą było wskoczyć na siodło, ale było już zapóźno; przeszkodziły mi krzewy stratowane przez nieprzyjaciela. Puściłem konia, którego dotąd trzymałem za trenzlę i zacząłem uciekać, ścigany przez słonia, który z wściekłem rżeniem przecinał trąbą powietrze, nie mogąc mnie jednak dosięgnąć. Śmiało mogę powiedzieć, że w tym wypadku zawdzięczałem moje wybawienie tylko zręczności, która pozwoliła mi wyprzedzać nieprzyjaciela, a przynajmniej utrzymywać się zawsze na takiej odległości, żeby jego uderzenia nie mogły mnie dosięgnąć.

Towarzyszący nam Kafrowie zatrzymali się o jakie sto metrów przed nami. Skoro tylko zrozumieli, co się dzieje, wzięli nogi za pas, zmykając w tym samym kierunku, co i ja. Przyszło mi wtedy na myśl, że najlepiej jest pochwycić jednego z Kafrów, oczywiście najmniej zręcznego, ażeby się zmienić z kimś wobec słonia, któryby się w takim razie rzucił na niego, a ja cofając się w bok mógłbym wystrzelić w zwierza, ponieważ nie odrzuciłem swego sztucera. Ale tymczasem słoń zatrzymał się, czy dlatego, że był już zmęczony, czy też ostrożność radziła mu wycofać się z tej gry, w której nie czuł się silniejszym.

W tej samej chwili nadbiegł Rensburg, popuściwszy cugli i nagle stoczył się z koniem w zagłębienie, którego dotąd nie zauważył. Słoń tak się zmieszał tym wypadkiem, że natychmiast zdecydował się na ucieczkę.

— Staraj się pojmać mego konia — rzekłem do Rensburga, który już znów był na siodle — i przyprowadź mi go tutaj, ja zaś pójdę śladem stada, aby go nie stracić z oczu, zanim ty powrócisz.

Za samicą, która mnie ścigała, podążało młode słoniątko. Pobiegłem za niem, chcąc odnaleźć matkę; słoniątko widząc, że jest ścigane, zaczęło wydawać krzyki żałośne, które skoniły matkę do zwrócenia się z obranej drogi. Spostrzegła mnie w chwili, gdy się rzuciłem w gąszcz leśny, dokąd chciałem zwabić młode. Spotkałem tam Rensburga, który przyprowadzał mego konia, wołając zdaleka:

— Uchodźmy ztąd, bo tu pełno much *tsé-tsé*.

Odparłem:

— Rób jak chcesz, ja zostaję, bo muszę mieć odwet.

Nie mogłem wprawdzie odnaleźć ani samicy, ani jej małego, nasyciłem jednak swą zemstę zabijając dwa inne słonie, które spotkałem w kilka chwil później.

Ale mój „Tempus“, koń wielkiej wartości, przypłacił życiem te świetne czyny; pocięty przez muchy jadowite, bardzo prędko dostał suchot i padł na początku pory deszczowej.

Podczas wielkiego polowania na słonie miałem sposobność ocenić stopień poświęcenia, do jakiego zdolne są psy. Mieliśmy ze sobą całą psiarnię, która z dzikiem szczekaniem obsaczyła wypłoszoną przed chwilą całą rodzinę lwów. Jeden z tych psów trzymał się uparcie o jakie dwadzieścia kroków po za nami i mimo naszych nawoływań nie chciał się wysunąć naprzód. Był on zbyt bojaźliwy, aby się przyłączyć do innych psów, ale zbyt wierny. ażeby nas opuścić. Wtem lwy przybierają nagle postawę zaczepną: cała psiarnia rozprasza się, rozbiegając się na wszystkie strony. Jeden z lwów uderza na nas, a nasz pies bojaźliwy pozostaje na swem stanowisku. Trząsł się co prawda i wył ze strachu, oczekując tylko sygnału ze strony swego pana, aby uciekać z nim razem. Pan jednak nie cofał się wcale i biedny pies dotrzymywał mu placu. Lew był już tylko o dziesięć kroków od nas, kiedy ogień szeregowy położył go trupem na miejscu, tuż przed oczami naszego psa, który mimo swej bojaźliwości, chciał mu jednak stawić czoło. Omal że nie stracił życia ze strachu, ale dał wielki dowód wierności.

Pamiętam również doskonale wyprawę myśliwską z r. 1845-go na północno-wschód kraju, odbytą w towarzystwie mojej żony, moich braci, Donwa i Thennisa i żony Donwa. Zatrzymaliśmy się właśnie na czas jakiś w pobliżu kraalu Sekukumi'ego nad spływem rzeki Spekboomu i Steelportu (na północo-zachodzie od Transvaalu). Korzystając z tego wypoczynku, zacząłem przeszukiwać gęste krzaki w nadziei, że mi się uda coś upolować. Byłem na koniu i miałem z sobą sztucer nabity. Po upływie jakiejś godziny wytropiłem wreszcie nosorożca i wystrzeliłem do niego. Nie zabiłem go jednak, a tylko zraniłem. Zwierzę zaczęło uciekać przez las. Zeskoczyłem z konia, ale trzymałem się od niego jakie cztery lub pięć kroków, ażeby każdej chwili módz go znowu dosiąść, w razie gdyby nosorożec zwrócił się ku mnie, nie dając mi czasu na powtórne nabicie broni. Udało mi się wprawdzie wystrzelić po raz drugi, ale strzelbę moją rozerwało właśnie w tem miejscu, gdzie ją podtrzymywałem lewą ręką. Kawałek mego lewego wielkiego palca leżał na ziemi przedemną, razem z kurkiem i lufą, a kolba spadła u mych stóp. Nosorożec zresztą natarł znowu, nie dając mi czasu na opłakanie tego bolesnego wypadku. Jednym skokiem znalazłem się na siodle i spiąłem konia ostrogami; raniony nosorożec pomknął za mną aż do urwistego nadbrzeża małej rzeki, gdzie się potknął; upadek jego nagły uwolnił mnie od prześladowania. Nazajutrz ludzie z naszego obozu poszli wstecz śladem mego konia przez wysokie trawy i przybyli na miejsce wypadku Ujrzeli tam nosorożca ciężko rannego, ale jeszcze żywego. Znaleźli również szczątki mego sztucera i kawałek palca.

Zbytecznem chyba dodawać, że ręka moja była w stanie opłakanym. Zwieszała się z ramienia bezwładnie ukazując przy stawie palca mięso skrwawione: mięśnie i żyły przedstawiały jakąś papkę bezkształtną. Ma się rozumieć spływałem krwią, jak zarzynany baran: byłem jednak tyle przytomnym, że w galopie zawiązałem swą ranę chustką do nosa, żeby nie zawalać krwią sierści mego konia. Żona moja i bratowa siedziały przed płomieniem ognia obok wyprzężonego wozu; nie chcąc ich przerażać, zbliżyłem się z uśmiechem na ustach.

— Cóż to za zwierzynę nam przynosisz? — zawołała bratowa, wskazując palcem na moją rękę, obwiniętą w chustkę, zbroczoną krwią; ręka istotnie wyglądała, jak kawał surowego mięsa.

Zwróciłem się do żony, prosząc ją, żeby przyniosła to wszystko, co jest potrzebne do opatrunku mojej ręki lekko zranionej. Kiedy się już skierowała do wozu, poprosiłem bratową o zdjęcie bandaża prowizorycznego; widząc mój palec zdruzgotany, zbladła śmiertelnie; ja zaś byłem tak blady, jakgdybym już nie miał krwi w żyłach. Zacząłem przykładać kompresy z terpentyny (mojem zdaniem jest to najlepszy środek na wypalenie rany i zatrzymanie upływu krwi), następnie posłałem młodszego brata — w owym czasie był on jeszcze istotnie bardzo młody — do sąsiedniego obozu po nowy zapas tego balsamu cudownego. Powrócił w towarzystwie Hermana Potgietera — tego samego, który później został tak okrutnie zamordowany przez Kafrów — i jego brata. Obaj, dowiedziawszy się o wypadku, którego padłem ofiarą, przybyli co prędzej.

Na widok mej ręki okaleczonej Potgieter wykrzyknął z przerażeniem:

— Nie, ta rana jest zbyt straszna, nie da się zagoić nigdy!

I omal co nie zemdlał.

Ale brat jego, prawdopodobnie chcąc mnie uspokoić, oświadczył:

— Ba, widziałem rany jeszcze straszniejsze, które wyleczyła terpentyna!

Kazaliśmy zaprzęgać, chcąc wrócić co prędzej do obozu, gdzie ludzie doświadczeni poradzili mi wezwać natychmiast lekarza, któryby mi odjął rękę. Ja jednak uważałem, że na to było jeszcze za wcześnie.

Nie miałem zresztą najmniejszej ochoty, ażeby moje mięso krajano w kawałki.

Utraciłem pierwszy staw wielkiego palca i jedyną operacyą, która mi się wydawała potrzebną, było odcięcie kawałka kości, obecnie zupełnie zbytecznego. Wziałem swój nóż kieszonkowy, chcąc przystąpić natychmiast do tej operacyi, ale wyrwano mi go z ręki. Wkrótce potem udało mi się schwycić inny nóż, zapomocą którego odciąłem mały, zbyteczny już kikut, w tem miejscu, gdzie mi się to wydawało konieczne.

Krew spływała tak obficie, że zupełnie słusznie mogłem się obawiać niebezpieczeństwa krwiotoku. Muszę wyznać, że operacya była bardzo bolesna. W braku wszelkich środków znieczulających zmuszony byłem uciec się do autosuggestyi, to jest, starałem się wmówić w siebie, że ręka, którą kraję, nie jest moją.

Leczyłem się bardzo długo. Kobiety przysypywały kikut mączką cukrową, a ja sam nieraz się uciekałem do pomocy noża, aby oczyścić ranę, usunąć krew, przelewającą się obficie i mięso gnijące. Później, na nieszczęście, przyszła gangrena. Ze wszystkich środków, których próbowałem wtedy, żaden nie okazał slę skutecznym.

Na ramieniu, aż do samej łopatki, ukazały się charakterystyczne, czarno-fioletowe pręgi. Położenie moje było rozpaczliwe. Wtedy zabito gazelę, rozpruto jej brzuch, a ja zanurzyłem swą rękę w dymiących jeszcze wnętrznościach. Środek ten, czysto boerski, zalecony przez

jakąś poczciwą kobietę, podziałał tak cudownie, że kiedy powstała kwestya, czy należy poświęcić drugą gazelę, niebezpieczeństwo było już prawie usunięte. Wszelako upłynęło jeszcze najmniej ze sześć miesięcy, nim się moja rana wygoiła zupełnie; nie czekałem jednak aż się zabliźni i urządzałem znowu polowania.

Dodać jeszcze muszę, żę cudowną własność wyżej wymienionego środka przypisuję temu faktowi, że wybrzeże urwiste i wyschłe koryto rzeki Spekboom, gdzie się pasą gazele, przedstawiają istny ogród zasiany ziołami i najrozmaitszemi roślinami, używanemi w medycynie.

Korespondencye.

Górka w Lipcu.

Załączam fotografię głowy rogacza, ubitego w maju t. r. przez hr. Alfreda Mycielskiego we Wolsztynie (ks. Poznańskie). Rogacz ten bardzo czujny i płochy widziany był kilkakrotnie przez straż leśną — meldowano go nawet, jako...... kozę o dziwnej narośli na nosie.



Tego roku w Poznańskiem silnych rogaczy mało, stare nawet byki bardzo słabe parostki mają. Zajęcy bardzo wiele; formalnie roi się od nich po polach. Trudno uwierzyć, że te resztki zajęcy, które po zeszłorocznych polowaniach ocalały, tak licznie rozmnożyć się mogły!

W pierwszych dniach byłem świadkiem pięknego ciągu słonek w lasach Zimnejwody, w Poznańskiem. Podobno i w lasach sąsiednich ciąg był o tym czasie równie dobry. Prawdopodobnie kwietniowa śnieżyca wstrzymała w przelocie biedne długodzióby i zmusiła je do gnieżdżenia się u nas. Okolica Zimnejwody najbardziej była śniegami nawiedzoną, w innych też stronach Księstwa nie słyszałem wcale o ciągu czerwcowym.

E. M.

Hadle, 20. lipca 1903.

Celność w rzucaniu kamieniami datuje się u mnie jeszcze z czasów chłopięcych, kiedyto w gronie kolegów urządzałem krucyaty przeciwko braciom mojżeszowego wyznania, gdy chodziło o zdobycie placu do gry w kiczki w szpitalnym ogrodzie w Rzeszowie. Sportu tego nie uprawiałem naturalnie już ze 30 lat, tymczasem wczoraj nadarzyła się sposobność użycia tego Dawidowego pocisku.

Wczoraj tedy, a była to niedziela, pojechałem z synkiem kucem do pstrągarni o kilometr od domu pod lasem założonej.

Gdy już pstrągi jeść dostały i mieliśmy wracać, spostrzegłem lisa o 50 kroków do sterty koniczu dążącego. Nie mając żadnej broni, chwyciłem spory kamień i zasłonięty stertą, podchodzę lisa, który tymczasem nie przeczuwając nic złego usiadł pod nią z drugiej strony. Zbliżywszy się doń na parę kroków, jakkolwiek mnie już zobaczył i dał susa, dosięgnąłem go kamieniem w zad. Zataczając się biegnie lis kawałek drogą, potem na ugór, ja za nim, przyczem porwałem znów kamień w rękę, a widząc po drugiej stronie Mleczki parobków pasących konie, wołam na nich, żeby lisowi zastąpili. Zmobilizowała się na prędce obława, złożona z 3 fornali, pastuszka i akuszerki wiejskiej, która skądś się nawinęła, uformowałem z nich kociołek, największą lukę koło siebie zostawiając. W nią też lis wkrótce uderzył przebiegając koło mnie na kilkanaście kroków. Puściłem weń kamieniem z całej siły i lis zrulował na miejscu trafiony w łeb. Byłato liszka tegoroczna, ale już wyrośnięta kompletnie, dobrze odżywiona i wyleniona.

Dziwny pech miał ten lisiura, bo nieraz zdarzyło mi się na kilkanaście kroków chybić lisa lub zająca ze strzelby, a tu dwukrotnie tak celnie kamieniem rzuciłem.

Dodać muszę, że syn mój, ogarnięty zapałem łowieckim, wyskoczył z wózka, aby wziąść udział w pościgu, a kuc tymczasem uciekł z wózkiem do domu.

P. Ł.

Pomorzany, 26. lipca 1903.

Donoszę, że wścieklizna lisów z powiatu Brzeżańskiego przeniosła się i w powiat Złoczowski. Czytając korespondencye w „Łowcu" z powiatów Bobreckiego, Przemyślańskiego, Rohatyńskiego i Brzeżańskiego poleciłem podwładnej mi straży leśnej uwagę i baczność na

objawy wścieklizny u lisów i borsuków. Opowiedziałem im postępy tej choroby, będącej ciekawem zjawiskiem w świecie łowieckim i poleciłem również, by mi o każdym podejrzanym wypadku wścieklizny donoszono. Lasy tutejsze, będące własnością JExcellencyi Romana hr. Potockiego, dotykają z jednej strony do lasów Dunajowskich, z drugiej strony do lasów Brzeżańskich, a z dwóch stron graniczą z polami czyli z Podolem. Lasy rozsiedlone na krańcach gór Woroniaków i płaskowzgórz podolskich przedstawiają bardzo dobrą ostoję i teren bardzo odpowiedni dla lisów i borsuków. Jakkolwiek lisy się tępi — truje strychniną i strzela — jednak co się jednego roku wyniszczy, to w przeciągu roku z sąsiednich lasów a głównie z jarów i parowów podolskich znowu jeszcze w zwiększonej liczbie nadciąga. Dowodem tego polowanie odbyte w grudniu roku zeszłego, w oddziele Kalne, położonym od Podola. W jednym 20-morgowym miocie — 15 lisów było widzianych, z czego Excellencya Roman hr. Potocki sam 5 lisów na jednem stanowisku zastrzelił. Może więc więcej wypadków wścieklizny się objawi, prócz tego, który niżej opiszę. Dnia 15. lipca przyszedł nadzorca Jan Mustafaga w rewirze Rozbadów ze swego oddziału leśnego Wierzbów, po obchodzie lasu popołudniu do domu. Za chwilę słyszy jakiś krzyk na podwórzu i psy ujadające na łańcuchach. Wybiega na podwórze bez strzelby i widzi, jak lis z psem uwiązanym na łańcuchu się kąsze — i lis z za płotu ciągle do psa się wspina, skacze i że się gryzą. Podbiega z tyłu do lisa, łapie go za kitę, uderza głową o twardą ziemię i zabija na miejscu. Gdy to uczynił, przypomina sobie, że to może lis wściekły, lecz na szczęście go nie ukąsił. Lis był chudy, z cienkim pyskiem, oczy zabiegłe krwią i zapieniony. Fakt powyższy stwierdza stanowczo wściekliznę, bo lis przybył na podwórze w dzień i przez płot wspinał się do psa i z nim kąsał.

Drugi wypadek, wprawdzie podejrzany, bo lis przed psem w lesie nie uciekał, tylko do niego stawał i warczał — lecz ponieważ nie jest dokładnie sprawdzony, nie biorę go jako fakt prawdziwie podejrzany. Uwiadamiając o tem szanowną Redakcyę, jak i kolegów w św. Hubercie, proszę by myśliwi z powiatu złoczowskiego baczną zwrócili uwagę na objawy wścieklizny u lisów i borsuków i podawali je do publicznej wiadomości.

Stanisław Graff,
rządca dóbr.

Kurypów, 27. lipca 1903.

(Wścieklizna u borsuków i lisów. Jelenie).

Przesyłam szanownej Redakcyi dalsze wiadomości o wściekliźnie u lisów i borsuków.

Dnia 19. czerwca b. r., tuż z południa wylazł borsuk z lasu na podwórze gajowego tutejszego „na Wygodzie" i stojące na podwórzu kilkuletnie dziecko gajowego zaczął szarpać za sukienkę. Na krzyk dziecka wypadła jego matka a żona gajowego i pochwyconym kijem, bijąc borsuka odpędziła z podwórza do lasu, gdy jednak odwróciła się następnie i podeszła do dziecka opatrzeć je, borsuk ponownie wrócił biegiem na podwórze i rzucił się do żony gajowego, ta porwała natenczas sapę na podwórzu leżącą i kilkoma uderzeniami zabiła borsuka. Dziecku podarł borsuk sukienkę tylko.

Dnia 22. czerwca b. r. lis, około 2-giej godziny z południa, wpadł we wsi „Wygoda" na podwórze włościanina i rzucił się do psa, pies uciekł do sieni a lis wpadł tam za nim, tuż jednak nadbiegli chłopi i lisa w sieni pałkami ubili.

Dnia 29. czerwca b. r. we wsi Kurypowie, tuż około chałup na ogrodach, borsuk rzucił się w zamiarze pokąsania na kilku chłopaków, starszych już, przez ogród w pole przechodzących. Chłopaki pałkami borsuka ubili. Działo się to około 3-ciej godz. popołudniu.

Dnia 30. czerwca 1903, w Ostrowie, w polu, lis zastąpił drogę chłopu idącemu przez swoje pole, i dopiero po długiej chwili, straszony na różny sposób przez chłopa, który w rękach nic nie miał, pomału odszedł, chłop zaś czemprędzej do chałupy zawrócił.

Słyszałem również, ale dokładnie sprawdzić nie zdołałem, że i we wsi Wiktorów pokąsał lis babę. Co się stało z lisem i babą nie wiem.

W roku przeszłym pokazały się tu w okolicy jelenie, mianowicie jedna łania i dwa byki, z których jeden był bardzo silny, drugi słabszy. W jesieni zaś z nadchodzącem rykowiskiem, gdzieś się wyprowadziły i aż do wiosny ich nie było. Tego roku znów z wiosną zjawiły się tu i znowu jedna łania, jeden byk silny i jeden słabszy. Czyżby to miały być te same? Widują je w lasach należących do Błudnik i raz widziano je w tutejszym lesie, należącym do Dorohowa.

Modest Douillet.

Wał Ruda koło Radłowa, 28. lipca 1903.

Od 1. lipca 1902 do końca czerwca 1903 zastrzelono zwierzyny pożytecznej t. j. rogaczy 97, zajęcy 234, kuropatw 186, słonkę 1, kaczek 33, kszyków 84, kulony 2, gęś 1; razem 638 sztuk. Zwierzyny szkodliwej, t. j. lisów 66, kunę 1, łasic 11, jastrzębi dużych 10, jastrzębi małych 33, kruków 14, wron i srok 421, psów 31, kotów 74, bocianów 7; razem 668 sztuk.

Za dzierżawienie polowań gminnych zapłacono 845 K., za szkody wyrządzone przez zwierzynę włościanom 982 K. 46 h., strzałowe i premie personalowi lasowemu 543·80 K., karmienie zwierzyny tej zimy kosztowało 265·82 K.

Polowań wielkich w tym sezonie zimowym nie było, tylko jedno w rewirze Biadoliny, dnia 2. stycznia b. r., na którem padło 14 rogaczy, 31 zajęcy i 3 lisy, a małych polowań odbyło się 3, na których ogółem zastrzelono rogaczy 24, zajęcy 89 i lisów 13. Resztę rogaczy zastrzelono na podjazdach, w przeważnej ilości zastrzelił synek właściciela, P. Seweryn Dolański, kontrolor dóbr, P. Aleksander Reichardt i podpisany.

Kłusownika w tym roku złapano tylko jednego, i czuję się w obowiązku na tem miejscu wyrazić podziękowanie adjunktowi sądowemu, WPanu Knapikowi, który chociaż nie myśliwy, ale wie, co kłusownik może szkody narobić i kłusownictwo bardzo ostro karze: i tak w styczniu b. r. leśny Jan Małek wypatrzył chłopa, który ze stodoły przez naumyślnie zrobiony otwór w ścianie, strzelał do zajęcy; zrobiłem rewizyę, odebrałem strzelbę i zająca, już na pół ugotowanego, zaskarżyłem tego chłopa do c. k. Sądu w Radłowie i wyżej wymieniony P. sędzia wpakował go na 10 dni aresztu, na zapłacenie za zająca kwoty 3 koron i ponoszenie kosztów sądowych. To ostre ukaranie, wiem dobrze, odstraszyło od tej zabawki wielu innych. Żandarmerya tutejsza z komendantem p. Schulzem na czele, jest nam także bardzo pomocną w takich wypadkach.

Opiszę także wypadek, jaki miała wdówka, Regina Makowska, z Warysia z lisem.

W nocy z 12 na 13-go czerwca, wyszła sobie lisica na strzechę domu wyżej wymienionej wdówki, zrobiła dziurę w strzesze i zaczęła robić porządek z kurami, które sobie spokojnie spędzały noce na „bantach“ chałupy. Wdówka, śpiąc czujno, usłyszała szmer a nareszcie i skarżenie się kur, wyszła ze światłem do sieni, co widząc lisica z góry, tak się przestraszyła, że straciła równowagę i bęc z bantów na podłogę sieni, pod nogi wdówce. Proszę sobie wyobrazić przerażenie jednej i drugiej: lisica czmychła pod skrzynię, stojącą w sieni, a wdówka jednym skokiem już była w izbie i tak się zaryglowała, jak jeszcze nigdy; po chwili ochłonięcia nabrała odwagi, bo przecież widziała, że nie „djobuł“ tylko jakiś „god“, uzbroiła się w motykę i po długiej gonitwie po sieni uśmierciła lisicę, która miała 4 sutki odciągnięte, więc widocznem było, że ma młode i mój kolega, leśniczy Bobrich, dokończył zniszczenia jednej familii lisiej, bo niedaleko w lesie wykopał przy pomocy jamników 4 młode, już dobrze wyrośnięte, lisy.

Okropnie wyglądają po powodzi tereny polowań nad Wisłą i Dunajcem, i nie prędko tam jaka taka zwierzyna zawita, bo co się nie wytopiło, to teraz okropny smród wygoni, szczególnie w Woli Przemykowskiej w niżej położonych miejscach nagromadziło się masa trupów bydlęcych, koni i wielka ilość sarn i zajęcy i przy panujęcych teraz upałach zaczyna to tak śmierdzieć, że c. k. Starostwo w Brzesku nakazało to wszystko wapnem niegaszonem posypać i zakopać.

Karol Scherautz.



Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z dnia 31. lipca 1902. Przewodniczący Prezes hr. Stanisław Stadnicki, obecni Wiceprezes Krogulski, członkowie Wydziału pp. Goralczyk, Hamerski, Miziewicz i Sołowij. Wiceprezes Krogulski zdaje sprawę z czynności biura w czasie od ostatniego posiedzenia, stwierdzając, że wszystkie powierzone Biuru sprawy zostały załatwione. Po krótkiem sprawozdaniu o stanie kasy i o wynikach akcyi celem ściągnięcia zaległości z lat dawniejszych, uchwalono prosić p. Syndyka, aby przeciwko tym członkom, którzy z wkładką za lat kilka zalegają i którzy dwa razy już przez p. Syndyka byli do zapłacenia wkładki zawezwani, wdrożyć akcyę sądową. Prośbę zarządu dóbr Niska o pozwolenie na odstrzelenie 100 siut, — uchwalono po dłuższej dyskusyi, w której udział wzięli hr. Prezes, pp. Goralczyk i Krogulski, zaopiniować w ten sposób, że Wydział jest za zezwoleniem na odstrzelenie 50 sztuk siut. Powtórną prośbę zarządu dóbr Mokrzyszowa o zezwolenie na odstrzelenie 50 siut w rewirach Krawce i Buda uchwalono przesłać powtórnie właściwym pp. delegatom do zaopiniowania nietylko o stanie saru, ale także o stanie kultur lasowych, które mają być wrzekomo zupełnie przez sarny zniszczone. W załatwieniu prośby gminy Kalne o zezwolenie na ubicie 30 łań, postanowiono przedłożyć c. k. Namiestnictwu wniosek nieprzychylny. Po wysłuchaniu relacyi o stanie sprawy uzyskania od Wydziału krajowego funduszu na poparcie celów łowieckich, która zaczyna wchodzić na lepszą drogę, uchwala Wydział uprosić hr. Prezesa, aby osobiście w tej sprawie interweniował w Wydziale krajowym. Sprawa wydzierżawienia opłat za karty łowieckie, musiała być z powodu nieobecności bawiącego na kuracyi referenta hr. Stanisława Mycielskiego odłożoną do przyszłego posiedzenia. W sprawie reorganizacyi instytucyi delegatów, która obecnie przy coraz częstszem odnoszeniu się do władz administracyjnych o opinie Towarzystwa i przypuszczalnem znacznem rozszerzeniu się agend Towarzystwa ze względu na nadzieję przychylnego załatwienia naszych słusznych żądań wobec kraju, okazuje się konieczną, uchwalono zwrócić się bezzwłocznie do wybranych w tym celu pp. delegatów z prośbą o natychmiastowe podanie wniosków co do uzupełnienia i zreformowania grona delegatów w każdym powiecie. W końcu przystąpiono do rozdziału nagród im. hr. Józefa Potockiego. Udzielono strażnikom w Mikołajowie i Kulparkowie, Senyszynowi i Bahrijowi ze względu na gorliwe spełnianie obowiązku strzeżenia zwierzyny nagrody po 30 koron. Zarazem na wniosek p. Miziewicza uchwalono udzielić dwie nagrody, jednę w kwocie 20 koron, drugą w kwocie 10 koron tym strażnikom akcyzowym, którzy w ostatnich czasach odznaczyli się przy przytrzymywaniu skradzionej i w czasie ochronnym przemycanej zwierzyny — a o których nazwiskach ma p. Wiceprezes Krogulski zasięgnąć wiadomości w Magistracie lwowskim. Na tem zakończono.

KRONIKA.

Wierszyk hr. L. Starzeńskiego „Do pierwszego bociana“, umieszczony w nrze 6-ym tegorocznego „Łowca“ został przetłumaczony przez p. Jana Prauna na język niemiecki i pojawił się w znanym celowieckiem dwutygodniku łowieckim „Weidmannsheil“. Wierszyk jest wiernie i bardzo zgrabnie przetłumaczony — praca ta odznacza się temi samemi zaletami, jak wszystko, co z pod pióra p. Prauna wychodzi. Zwrot w oryginale użyty:

„Z tego ja wniosek wytworzyć muszę,
„Że ty masz w sobie — krzyżacką duszę!

wypadł w tłumaczeniu jak następuje:

„Aus allem muss ich es ermessen,
„Dass du vom Teufel bist besessen!

Nie dosłownie, ale trafnie!

Drobne ogłoszenia.

Czystej rasy Gordon Setterka 3-miesięczna, czarno-brunatna, do sprzedania u Józefa Gödla, Lwów, Piastowa 23.

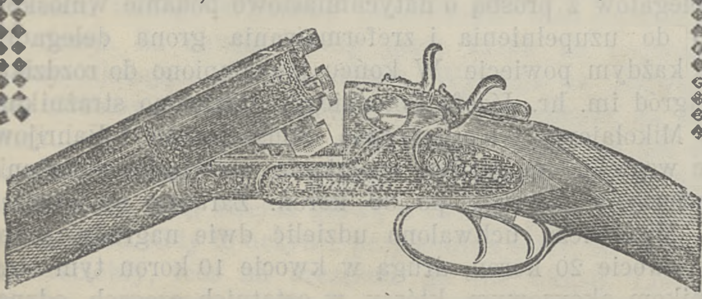
Zamieniam lub sprzedam wyżła rasy niemieckiej, z twardym włosem (Stichelhaar), szaro nakrapianego z brunatnemi płatami, idealnego pod względem budowy i owłosienia. Harras von Donnersmarck ur. 22. maja 1900 z Hertha-Altenau (D. H. St. B. Nr. 141 A. Bd. XXII.) po Ciss-Morrow (D. H. St. B. Nr. 72 A. Bd. XXII.) Dr. Marynowski, Bircza.

Kupię wyżła bardzo dobrego w 3-cim lub 2-gim polu. Jan Kleski w Werbiążu, poczta Kołomyja.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



→ Główny magazyn i fabryka ←

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi
poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

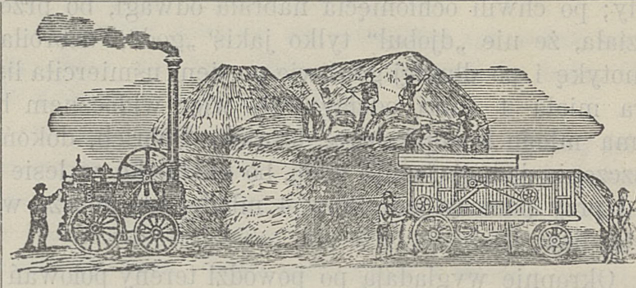
jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyńcze i podwójne. Trzylówki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety, floberty i t. d.
Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie
po cenach najtańszych.

Do sprzedania, pies „Setter“, ułożony w trzecim polu. Cena 130 koron. Wiadomość: Smolecki, Bursztyn.

Kalendarzyk bankowy wysyłamy bezpłatnie. Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi, wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.



Lwów ulica Grodecka l. 22.

Clayton & Schuttleworth Limited

polecają swe, ogólnie uznane jako najdoskonalsze wyroby maszyn i narzędzi rolniczych, a mianowicie: **Locomobile i młocarnie parowe,** które jako pierwszorzędne i wzorowe opanowały targi świata (przeszło 70.000) lokomobil i młocarń sporządzono i sprzedano), **przewozowe i stałe kieraty i młocarnie kieratowe, młynki, trieury, pługi uniwersalne stalowe, brony, walce, siewniki Columbia** (jedyne maszyny siejące regularnie na każdym terenie) **siewniki szerokorzutne, plewniki Planet jr, światowej, sławy, kosiarki, żniwiarki** z aparatem do wiązania lub bez niego, **grabiarki, sieczkarnie, śrotowniki, pompy,** i **sikawki** i t. d. i t. d. i zapraszają do zwiedzania swego składu maszyn.

W warstacie reparacyjnym, pędzonym parą, zaopatrzonym w najnowsze maszyny pomocnicze uskuteczniają wszelkie naprawy dokładnie i tanio.

Illustrowane cenniki darmo i opłatnie.



KAPELUSZE FILCOWE
LODENOWE i SŁOMKOWE.
CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU.
SZTYLPY, MESZTY i KALOSZE
PETERSBURGSKIE



poleca

Kazimierz Bielczyk

Lwów, Halicka l. 21. — Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.